

pis^{mo} Kolano

**pólliter'ackie i niekulturalne;
halbliter'arisch & unkultiviert;**

– (lewicowo-prawicowe) –

**oficjalny organ związku polskich nieudaczników
n u m e r p i ę t n a s t y
berlin ___ grudzień (Dezember) 2000
częściowo dwujęzyczne - Deutsch inside**

Drodzy czytelnicy!

Już prawie rok upływa od chwili, gdy mieliście w rękach ostatni numer „Kolana”. Z pewnością, czekając niecierpliwie na następny numer, zadawaliście sobie pytanie: „Co się dzieje z tymi próżniakami? Czyżby wylegali się gdzieś na plaży w Karwi zamiast redagować?”. Pragniemy uspokoić was, drodzy państwo, co prawda trochę próżnowaliśmy, ale przede wszystkim działaliśmy, krzewiąc gdzie się da polską kulturę.

Był to dla nas rok bardzo owocny. Bo oto wiosną zarejestrowaliśmy oficjalnie nasz Związek (na ostatniej stronie znajduje się deklaracja członkowska na wypadek gdyby ktoś chciał do nas dołączyć), a już jesienią odbył się Pierwszy Festiwal Polskich Nieudaczników. W dosyć nobliwych wnętrzach Schwartzsche'j Vill'i na Steglitz, 16 września, rozbrzmiewała polska mowa i muzyka. Zaczęło się koncertem dla psów, do udziału w którym jego inicjator Lopez M. zdołał namówić do udziału w nim m.in. tenora pana Piotra Czajkowskiego i muzyka eksperymentalnego pana Christiana. Psów przyszło niewiele, co potwierdziło tylko teorię pomysłodawcy koncertu mówiącą, że psy są przez swoich właścicieli odcinane od źródeł informacji (były przecież stopery w Zitty i Tip'ie).

Potem było coś dla ludzi czyli czytania B.Helbig, K.Jaworskiego, K.Niewrzędy, P.Olszówki, W.Stamma, A.Skibińskiego i G.Wróblewskiego. Pomimo tego, że tylko część tekstów czytana była po niemiecku, a większość po polsku, według pani redaktor Kirsten Küppers z TAZ'a szeleszczące polskie słowa miksując się przyjemnie z szeleszczącym za oknem deszczem wytwarzały dla nie rozumiejących po polsku odprężającą akustycznie atmosferę.

Kulminacją wieczoru były dwa przedstawienia: „Babcia Zosia” i „Ciocia Leosia”, a dla najbardziej wytrwałych koncert Tempotangi. W sali kominkowej swoje rysunki i obrazy prezentował Kamil Sobolewski. Nieładnie jest samemu się chwalić, ale z niejednych ust padły słowa zachwytu i podziwu. Lekkim zgrzytem było podejrzenie, że ukradliśmy dwa kufle z bufetu ale gdy nazajutrz zostały znalezione w toalecie męskiej, nic już nie mąciło ogólnego zadowolenia i radości.

Pierwszą wyjazdową akcją związku był spontaniczny udział w Targach Książki we Frankfurcie nad Menem. Należy tu dodać, że była to akcja nielegalna i mogła się skończyć więzieniem lub nawet wydaleniem nas do Polski. Szczegóły i refleksje uczestników akcji możecie Państwo przeczytać wewnątrz numeru. A zatem zapraszamy i jak zwykle liczymy na odzew listowny, telefoniczny lub emailowy.

Redakcja Kolana



**_W numerze m.in.:_Poezja R.Lipskiego i G.Wróblewskiego_0 gnieźnieńskim zjeździe-Antoni Socha
Refleksje o targach książki we Frankfurcie
_Artykuł Lopeza Mausere_Regulamin Związku Nieudaczników_Artykuł programowy pana Hermana_
_Antoni Woźniak - Jerozolima_Jacek Podsiadło - Opowiadanie**

www.polnischeversager.de

Niedojdy, Niezguły, Pechowcy, Jonasze, Niedołęgi, Niedorajdy, Niedzdary i Niemilce; hrabina Marion von Dönhof wyjechała z Gdańska wczesnym popołudniem. Rosomak wyruszył z Bydgoszczy i dopadł ją koło Lęborka



717

Na początku musi się coś nieudać. Lopez Mausere zgubił pożyczony od Meike akordeon, Ania Witczak znalazła, spróbowała kilka akordów, wyszło; założyła zespół „Dikanda“, który robi teraz olśniewającą karierę. Koncert muzyki klezmerskiej w Berlinie w jej wykonaniu zatytułowany: „To się nie może nie podobać“, długo był przedmiotem zachwytów i bliskich omdleń egzaltacji.

I tak to już jest. W historii także. Stany Zjednoczone uzyskały niepodległość w wyniku nieudactw króla Jerzego III, a Napoleon wyskoczył na nieudacznika jak diabeł z pudełka, kiedy pod Moskwą zmarnował półmilionową armię i stracił władzę nad połową Europy. Panuje jednak powszechne przekonanie, że do wielkich głupstw nie trzeba być geniuszem. Jest to rzekomo ta wyjątkowa dziedzina, w której każdy mógłby równać się z Einsteinem. Czy rzeczywiście? A może jest to tylko kolejna krótkowzroczność cywilizacji, która kurczo i panicznie trzyma się Sukcesu, rozumiejąc go od tysiącleci identycznie. Zdumienie ogarnia, gdy widzimy, ile energii marnuje się na tematy nie mające żadnego sensu. Zdążyliśmy rozbudować najdrobniejsze elementy ludzkiej egzystencji. Podważyliśmy wiele systemów wartości, białe stawało się czarnym, a czarne białym. Bohaterowie pozytywni występowali już w ciemnych kapeluszach, a źli w jasnych. O niuansach smakowych szczepów winnego grona zapisano miliony stron, najdrobniejsze przejawy życia opisano ze wszystkich perspektyw; istnieją z pewnością szczególne rozważania na temat wpływu życia płciowego pelikanów na rozwój

dorożkarstwa w Kongo - ale o tym, czym jest sukces, a czym niepowodzenie myśli się zawsze tak samo prostacko.

Niemcy nie mają dla Niepowodzenia i Niedoradności zbyt wiele serca. „Versagen“ widziane jest jako zjawisko negatywne. Im bardziej na wschód, tym więcej zyskuje ona domieszki pobłażliwości, nawet w niektórych przypadkach szczyptę sympatii. Słowo „Versager“, choć słownikowo znaczy to samo co polski „nieudacznik“, wywołuje tu bardziej negatywne skojarzenia, a w wielu przypadkach także agresję, podczas gdy w Polsce przede wszystkim kwitowane jest pobłażliwym, najwyżej lekko pogardliwym uśmiechem.

Typ bałkański (wg. E.M Ciorana)

Pozytywną definicję - jednak dość powierzchownie i lakonicznie - formułuje rumuński pisarz i myśliciel E. M. Cioran. „Jest to ktoś bardzo utalentowany, ale nie realizujący swoich możliwości, ktoś, kto wszystko obiecuje, ale nie dotrzymuje obietnic” Cioran mówi o bałkańskim typie nieudacznictwa, które wynika ze świadomości nicości, z absolutnej jasności widzenia, które nie pozostawia żadnych złudzeń. Życie daje się znieść tylko wtedy, kiedy nie dochodzimy do kresu, „pod warunkiem, że nie jest się świadomym każdej upływającej chwili. Inaczej koniec z nami“. Bałkański typ, charakteryzuje się negatywną wizją życia która niekoniecznie jest fałszywa, ale nie da się z życiem pogodzić.

Cywilizacja zachodnia, hołdująca idei grzeczności, poprawności, umiaru, wyznaczonych kryteriów i granic poznania

odrzuca jakąkolwiek pozytywną koncepcję Nieudacznosci. Pragmatyzm Zachodu, dążący do ostatecznego zamknięcia rzeczywistości w formie, nie przyswaja i nie integruje w zasadzie w swoim głównym kulturowym nurcie żadnego rodzaju myśli nihilistycznej. Tylko nieliczni przedstawiciele takiej postawy wpisali się jakoś do zbiorowej świadomości na Zachodzie, podczas gdy literatura rosyjska jest w zasadzie całkowicie przesyciona duchem nicości i nieporadności życiowej. W przykładzie podanym przez Ciorana mowa jest o człowieku, który doszedł do całkowitej negacji, do absolutnej świadomości nicości. „Zadziwiające, że był to grubas sprawiający wrażenie bardzo zadowolonego, pogodnego człowieka. Nie był złośliwy, nie był łajdakiem, tyle że nie miał najmniejszych złudzeń. To też jest pewien rodzaj poznania - czym bowiem jest poznanie, jeśli nie burzeniem czegoś“.

Typ środkowoeuropejski (zarys)

Pokrewnym odmianie bałkańskiej typem, tak samo wynikającym z dotarcia do kresu poznania, ale nie dopuszczającym tej wiedzy - czy to za sprawą naturalnego instyktu samozachowawczego, czy kulturowej negacji - do sfery świadomości, jest środkowoeuropejski Niedorajda. Osadzony w tradycji i kulturze wyczerpujących się i wzajemnie osłabiających Wschodu i Zachodu, z których jedno pcha go w fatalizm i nihilizm, które raczej przeczuwa niż poznaje, a drugie go przed tą eschatologią broni, tworzy zupełnie swoiste indywiduum, niezwykle trudne do opisanie i obce jakiegokolwiek sformułowanej myśli. Oto dlaczego Dostojewski tak nie cierpiał Polaków, tych zlatynizowanych Słowian, którzy nie mieścili mu się w żadnym paradygmacie, których reakcje były kompletnie nieprzewidywalne, zaskakujące i absurdalne, a zakres zachowań od Bałtyku do Tatr, od małych świąństw i łajdactwa do bohaterskiej szlachetności; od najsubtelniejszej ckliwej mądrości do ciężkiego głupstwa. Polaczyszka. Polaczek mu się wymykał. Frapujące, że Dostojewski, ten który docierał do człowieka głęboko, odsłaniał to co jest w nim marne, tragicznie marne - który jako jeden z nielicznych docierał do źródeł czynów, odkrywał diabła w ludziach - dla Polaka miał tylko prostacką pogardę. Z Polaczkiem nie mógł sobie na swoją genialną miarę nijak poradzić. Mefistofelesa chwycił za rogi jak chciał, Borucie nie dawał rady.

Polski typ jest wypadkową kulturowych wpływów antagonistycznych obszarów mentalnych Wschodu i Zachodu, których duchowość (ekstrawertyzm i intelektualizm Zachodu - introwertyzm

i fatalizm Wschodu) zatracą się stopniowo, wyczerpuje i rozmywa gdzieś między Odrą a Bugiem. Przestrzeń, w której to się dzieje jest przestrzenią przede wszystkim historyczno - geograficzną. Od kilku stuleci tzw. polskość zatracą swój własny, specyficzny wątek duchowy i dziejowy i błędzi jako kształt rozproszony i nieufirmowany. W przeciwieństwie jednak do form dojrzałych i utrwalonych daje to możliwość zreintegracji się na wyższym poziomie, stworzenia nowej osobowości kolektywnej, wyposażonej w doskonalsze treści poznawcze, moralne i artystyczne. Jedynym warunkiem zapoczątkowania takiego procesu jest amplifikacja i uświadomienie sobie obecnej kondycji duchowej, czyli nijakości, oderwania, niedojrzałości, i co przychodzi najtrudniej - pewnego rodzaju gorszości i niższości. I nic nam nie da ani Chopin, ani Curie-Skłodowska z Kopernikiem. Ale może pomóc Gombrowicz.

Dostarczam swobody, jakiej bardzo potrzebuje nasza pokurczona dusza

„Za każdym z naszych czynów coś się kryje i to jest właśnie interesujące z punktu widzenia psychologii. Dotykamy jedynie powierzchni. Mamy dostęp do tego, co już sformułowane, natomiast ważne jest to, czego nie da się sformułować, co leży w głębi, jest tajemnicą postawy lub słowa.“ To jeszcze raz Cioran. Ale w gruncie rzeczy to nie on stworzył podstawy do rozważań na temat specyficznej odmiany polskiego typu niedołęstwa. Niemniej jest możliwe, że w jakimś stopniu myśl Ciorana przeniknęła do systemu Witolda Gombrowicza, ponieważ tego Rumuna akurat Gombrowicz znał i pisał o nim obszernie. Poświęcił mu nawet osobny artykuł pt. „Dogodności i niedogodności wygnania“ oraz trochę miejsca w „Dziennikach“. Zasada, że najbardziej nie lubi się tych, którym najwięcej się zawdzięcza, dotyczy najwyraźniej także pisarzy. Gombrowicz krytykuje i polemizuje z Sartrem, chociaż wiadomo (bo i sam o tym pisał), że poglądy tego francuskiego egzystencjalisty były dla niego deską, z której wyskoczył na filozoficzno-artystyczne wyżyny rozważań na temat Formy. Przybyszewski wykpiwał Nietzschego, a dla każdego jest przecież jasne, że był za młodu fanatycznym nietzscheanistą i to właśnie z tego miejsca wyruszył na „drogi duszy“. Szedł w końcu sam, nawet jeżeli podpierał się kosturem poglądów innych.

Sprawę komplikuje nieco fakt, że Gombrowicz nieudacznictwem jako takim nigdy się nie zajmował. W każdym razie nigdy w sposób bezpośredni. Bardzo wiele jednak można z jego rozważań o Formie dla

naszej problematyki odczedzić, miejscami najprawdziwsze perełki. Swoją drogą zastanawiające jest, że myśl tak znanego i kulturowanego twórcy, uchodzącego w Polsce za prawdziwe objawienie, tak słabo przenika do potocznego życia. Mnie się wydaje, że zachwycający styl i język, które stworzył Witold Gombrowicz był przede wszystkim instrumentem bardzo ważnej treści, którą ten człowiek miał do przekazania. On chciał nam przez cały czas coś ważnego powiedzieć. Ciągłe to samo. Próbował za pomocą liryki, epiki i dramatu. W swoich „Dziennikach“, sztukach, powieściach, wywiadach i esejach chodziło mu tylko o przekazanie myśli, którą na dobrą sprawę zawrzeć można w dwóch, a choćby i w jednym zdaniu. Cała ta wybitna literatura powstała tylko po to, żeby sprawić, by przekaz ten nas osiągnął i się w nas zadomowił. Wszystkie tomy Gombrowicza to w gruncie rzeczy tylko jedno przykazanie ferdynandistycznego Dekalogu: Uświadomienie sobie swojego „niedo“ - niedokształtowania, niedorozwoju, niedojrzałości - nie tylko nie osłabia, ale wzmacnia. I może stać się zarodkiem żywotności i rozwoju.

Gombrowicz chciał być sławny. Po co? Bo był słaby i próżny? Nie! Ponieważ myślał, że jak będzie sławny, to go wreszcie ktoś posłucha. Stworzył struktury, które nazwał „zarządzaniem swoją sławą“ po to żeby go zaczęto traktować poważnie. Wszystko daremnie. Z pewnością wielu rozumie jego idee, ale nikomu nie przychodzi do głowy, że powstały one po to, by wprowadzać je w życie.

Literatura nie ma dzisiaj pragmatycznego odniesienia. W życie wprowadza się instrukcje, zarządzenia, wytyczne. Teksty literackie służą natomiast celom wyższym i duchowym; należy się nimi zachwycać, doznawać oczyszczającego „katharsis“, przeżywać estetyczne doznania oraz prezentować gronem badaczy, intelektualistów i koneserów. O więzi literatury z racjonalnym i praktycznym biegunem świata nie ma dzisiaj mowy. Takie kryterium w literaturze nie istnieje. Hermeneutyka - prozę bardzo, strukturalizm - oczywiście, fenomenologia - jak najbardziej, biografizm - czemu nie. Ale wymiar praktyczny - instruktażowy dzieła literackiego? Tego literaccy uczeni nijak nie udźwigną.

Czy zdajecie sobie sprawę - jeżeli rzeczywiście tak było z Gombrowiczem, jak to przedstawiam - jakie to jest straszne, jakie bezgranicznie smutne i tragiczne? Potworna ironia, tym straszliwsza, biorąc pod uwagę „jak wielkim jest“ teraz w Polsce. Prawie jak Sienkiewicz... albo Słowacki.

...a sprawa polska

Ogromną trudność w opisywaniu zagadnień nieudacznictwa stanowi brak adekwatnego języka i materiału pojęciowego. Kompleksy, nerwice, neurozy i tym podobne „paskudne“ rzeczy, z których ono się częściowo składa (lecz nie tylko), widziane były raczej zawsze jako anomalia i patologie. Dopiero w 20. stuleciu pojawiły głosy - przede wszystkim był to szwajcarski neopsychoanalityk C.G. Jung - że kompleksy mają też charakter pozytywny, ponieważ jako źródło konfliktów wewnątrzpsychicznych stanowią o dynamice i rozwoju życia umysłowego. Także nerwice nie widziane były przez niego jako choroba, lecz jako ważny, celowy i pozytywny czynnik, wytrącający ludzi z utartych kolein myślowych, często wbrew ich własnemu lenistwu i mimo rozpaczliwego oporu. Pojawienie się nerwic świadczyć może o tym, że gwałtownie potrzebujemy rozszerzenia naszej osobowości i horyzontów myślowych, żeby doznać koniecznego oświecenia i nadświadomości. Nie oznacza to rozwiązania problemów życia, a jedynie ich przerośnięcie. „Co na niższym szczeblu było okazją do najdzikszych konfliktów i panicznych afektów, teraz, obserwowane z wyższego poziomu osobowości, wydaje się jak burza w dolinie, na którą patrzymy z wysokiej góry. Nie znaczy to, że burza utraciła swoją realność, ale człowiek znajduje się już nie w niej, lecz poza nią“

Także inni uczeni psychologii najnowszych czasów rewidowali patocentryczną koncepcję stosunku między nerwicami i psychozami a procesem transformacji psychicznej, wśród nich byli i Polacy. A jakże!. Kazimierz Dąbrowski, twórca koncepcji dezintegracji pozytywnej, twierdził, że aby opuścić poziom rozwoju niższy trzeba przejść przez dezorganizację struktur i czynności prymitywnych, która prowadzi jednak do zorganizowania się na poziomie wyższym.

Myślę, że możemy na tym poprzestać i nie trzeba już wytaczać całego arsenału pojęć Junga jak jaźń, archetyp, symbol, ego, amicus, amina itp., żeby zrozumieć jak to się ma do naszej tu „polskiej sprawy“. Nie trzeba przecież dodawać, że procesy te dotyczą zarówno osobowości jednostkowej jak i osobowości kolektywnej. Krótko mówiąc, ową dezintegrację przeżywa obecnie mniej więcej to, co nazywamy Polską, polskością i Polakami, i to od dłuższego już czasu, wrecz nieprzyzwocie długiego czasu. Niestety, nie wygląda na to, żeby niedługo nadeszło owe „oświecenie i zorganizowanie na wyższym poziomie“, ponieważ nie można powiedzieć, że w tym przypadku jest to proces, który przebiega świadomie, z aktywnym zaangażowaniem podmiotu, który go przeżywa. Jest sprawą jasną, że niełatwo jest przyznać się do „gorszości“ i



nieudactwa, ale o to właśnie chodzi, żeby było trudno. Per aspera ad astra" - bez tego nie ma mowy o rozwoju. Trudność polega przede wszystkim na tym, że chodzi o coś więcej niż to, na co może zgodzić się potoczny rozsądek. „To tak, jakbyśmy od przeciętnego porządnego człowieka wymagali, żeby zrozumiał, że jest przestępcą“. Niewyobrażalna trudność, prawda? Ale „ohne Fleiß kein Preis, drodzy rodacy“.

Nie chce mi się trawić całego życia jak Gombrowicz na tłumaczenie i „zbawianie narodu“ i wkrótce „skończą się dni kołatania do pustych serc i ciemnych głów“, ale jeszcze omówię, wbrew wcześniejszym zamiarom, pojęcia „jaźni“ i „ego“, na wypadek gdyby dziwnym trafem znaleźli się tacy, którzy chcą zrozumieć, o co idzie, a tylko jeszcze (!) im się to nie udało. Ujmę to krótko: „jaźń“ to cała nasza osobowość, a „ego“ to tylko ta jej niewielka część, z której sobie zdajemy sprawę, której jesteśmy świadomi. Niemniej całość naszej osobowości jest faktem, a nie tylko to, o czym wiemy. Tę nieświadomą część możemy w jakimś stopniu jakoś przeczuć, odczytać pośrednio poprzez różne tajemnicze, symboliczne i archetypiczne zjawiska, ale w gruncie rzeczy jest ona dla nas wieczną zagadką. Możemy natomiast rozszerzyć „ego“ jakby jej kosztem. I właśnie o to chodzi, żeby zrobić to na tyle, by nam się ukazała cała śmieszność i nędza kurczowego trzymania się zakłamaną wielkością i domniemanego sukcesu, a zarazem, żebyśmy ujrzeli wreszcie radosną, prawdziwie wielką i kosmiczną potęgę naszego „niedo“, „zarodka naszej żywotności i rozwoju“.

Na pierwszy rzut oka wydaje się, że Polacy mają do siebie stosunek bardzo krytyczny. Odnoszą się z dystansem nie tylko do poszczególnych elementów rodzinnego życia społecznego, jak rząd, prezydent, organizacja służby zdrowia, system podatkowy, szkolnictwo itp., ale ich sceptycyzm dotyczy także narodowych imponderabiliów. Narzeka się masowo na polską

mentalność, która uniemożliwia stworzenie czegokolwiek, co będzie dobrze funkcjonowało. Bardzo dobrze zakorzeniły się w języku frazy: „W tym kraju to się nie może udać“, „z Polakami nie da rady“, świadczące o totalnym odcinaniu się od nieudaczej ojczyzny i reszty rodaków. Mogłoby się zatem wydawać, że czas dezorganizacji znajduje się w ostatniej fazie, kolektywne „ego“ uległo cudownemu rozszerzeniu i wkrótce rozpocznie się proces reorganizacji na poziomie wyższym, który pociągnie za sobą szereg sukcesów w wielu dziedzinach na-rodowo-społecznej egzystencji. Na to się jednak nie zanosi z następującego powodu.

Ograniczę się tylko do jednego, ale za to skrajnego przykładu, zaświadczonego istotą i bezużytecznością polskiego samokrytycyzmu. Dotyczy on motoryzacji i ruchu drogowego w Polsce. W Polsce są bardzo kiepskie, wąskie i dziurawe drogi, po których z ogromną prędkością zapierdalają samochody. Wielu moich znajomych z obczyzny boi się zapuszczać tam samochodem, a nawet kiedyś „Spiegel“ zalecał podróżować po Polsce wyłącznie śmigłowcem. Oczywiście, że przesada. W gruncie rzeczy na całym świecie doniesienia z dróg przypominają relacje z frontu II wojny światowej. W Polsce jednak jest to jakby front wschodni tej wojny. Otóż kiedyś rozmawiałem na ten temat z jednym znajomym, który ze szczerym oburzeniem mówił o nieodpowiedzialnych kierowcach poruszających się ze zbyt dużą prędkością po wąskich, złych i przepelnionych drogach. Rozmowa odbywała się w starym Oplu Rekordzie, prowadzonym przez jego 17 letniego syna, który na dziurawej przepełnionej i krętej drodze jechał tak, jakby go właśnie rzuciła ukochana dziewczyna i zamierzał strzelić efektownego samobójca. Tata jednak nie chwytął paradoksu tej sytuacji.

Cudownej reorganizacji na poziomie wyższym nie należy się więc w najbliższym czasie spodziewać, ponieważ każdy Polak

przyczynę narodowego nieudacznictwa widzi poza własną osobą. Samokrytycyzm polski ma zatem charakter pozorny i należy wyłącznie do bezpodmiotowych zjawisk rzeczywistości wirtualnej.

BUND DER POLNISCHEN VERSAGER E.V.

„Nie w prawo, nie w lewo. Prosto i o sobie“

W kwietniu 2000 roku w berlińskim sądzie administracyjnym w dzielnicy Charlottenburg zarejestrowane zostało pod nr. 19849 stowarzyszenie noszące nazwę: „Polenmarkt. Bund der polnischen Versager“. Skupia ono ludzi związanych z różnymi dziedzinami działalności artystycznej: muzyków, pisarzy, plastyków, aktorów, dla których idea „twórczości nieudaczej“ stwarza możliwość nieskrępowanego, niezależnego od kulturowych i społecznych imperatywów realizowania indywidualnych zainteresowań i metafizyczno-społecznych ambicji.

Zamiast reprezentować głos człowieka z krwi i kości sztuka stała się orędownikiem laboratoryjnych i naukowych prawd epoki. W zbyt gorącej chęci zrozumienia rzeczywistości zapomnieliśmy, że nie jesteśmy od rozumienia rzeczywistości, lecz tylko od jej wypowiedzienia - że my jesteśmy rzeczywistością. Sztuka to fakt, a nie komentarz do doczepionego faktu. Negatywne przeżycie spostrzeżenia, że sztuka zatracą swoją wyróżniającą właściwość, jaką jest reprezentowanie głosu pojedynczego człowieka i poddaje się ideom i praktykom życia zbiorowego, kazało nam podjąć kroki odpowiednio radykalne.

Nadszedł więc czas przyznania się do niedojrzałości i zaniedbania. Trzeba przestać się bać mówić „spod serca“ nawet jeżeli wychodzą stamtąd same głupstwa, bo w tym coraz bardziej abstrakcyjnym świecie za wszelką cenę musi rozlegać się żywe, ludzkie słowo.

Herman

Protestuję przeciwko strzałom w ciemno Ści!

Ostatnio, podczas realizacji filmu dokumentalnego o myśliwym, jeden wielce doświadczony myśliwy zwierzał mi się, że kiedyś o mały włos nie zabił człowieka. A było to tak.

Myśliwy uwielbiał przesiadywać o zmierzchu na „ambonce“. Pewnego razu siedział właśnie tam i miał wszystkie urządzenia, nawet lunetę, którą można obserwować po ciemku. Zobaczył dziką na skraju lasu, spojrzął przez okular szturca - tak dzik. Tego dnia właśnie postanowił coś ustrzelić, a to mi się poszczęściło, pomyślał sobie. I kiedy już miał strzelić, dzik wstał, wyprostował się, zarzucił worek z kartoflami i odszedł w kierunku wsi.

Tak, drodzy państwo, kiedy ciemno i kontury zatarte łącznie wziąć człowieka za dziką, bestię za człowieka, człowieka za bestię. Po co przytoczyłem ten niejasny jeszcze przykład? Ano dlatego, że mamy do czynienia z podobną sytuacją w świadomości zbiorowej u progu 21-ego stulecia. Przed paroma dniami odbyłem rozmowę z kolejnym już Amerykaninem, który spokojnie oświadczył mi, że Holocaust mógł się wydarzyć tylko w Polsce, że szalejący tam antysemityzm był jego przyczyną. Podobnie zresztą reagują obywatele państw skandynawskich, a Szwajcarzy nawet szczególnie to podkreślają, że Polska przed wojną była krajem pogromów.

Czy oni mają rację? Tak, mają niestety, tak, Polska była i jest krajem antysemityzmu. Lecz przyjrzyjmy się sytuacji dokładniej. Otóż przed wojną Żydzi stanowili 10% ludności kraju (tyle, ile na przykład Spartaci w Sparcie). W Polsce ukazywało się 30 dzienników żydowskich w języku jidisz, hebrajskim i polskim, 130 periodyków żydowskich. Żydzi mieli swoje szkolnictwo podstawowe i średnie, a w 1937 utworzono akademię religijną w Lublinie.

- Przyszły noblista Isaak Beshevis Singer, gdzie odbywał długie dysputy literackie?

- W żydowskim oddziale polskiego Pen Clubu.

Bywało oczywiście różnie, getta ławkowe, obóz narodowo-radykalny, zabójstwo Narutowicza, będące częścią konfliktu.

- Czy da się to opisać?

- Chyba nie za dokładnie, dodawszy do tego dwa totalitaryzmy, które wzrosły tuż obok ze wschodu i z zachodu.

Leopold Pfefferberg, autor scenariusza do Listy Schindlera, przyznaje, że Polska była dla niego krajem dobrobytu i obiecujących perspektyw. Ale co to może kogoś obchodzić.

- Ilu w Polsce było Schindlerów?

I kiedy odpowiadam tysiące, kłamie i krzywdzę tych, którzy ratowali Żydów i w każdej chwili mogli być „rozwaleni“ pod płotem. Ale taki dokładnie jest stan świadomości świata na temat tamtych wydarzeń historycznych.

- Czy Spielberg dokonał przekłamania?

- Według mnie, nie.

Wszystko jest w porządku pod warunkiem, że zaznaczy się na początku, iż jest to wizja odarta z szerszego kontekstu historycznego. Czyli bez opisanie innych incydentów i imponderabiliów jak zastraszenie całego społeczeństwa polskiego, aresztowanie profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego, Wawer, Palmiry, Piaśnica etc., a zatem bez zauważenia faktu braku możliwości działania w normalnych warunkach przez obywateli polskich również nieżydowskiego pochodzenia. Trzeba jednakowoż zrozumieć też wymogi sukcesu filmowego - pomysł na fabułę musi być w obecnych czasach nieco perwersyjny, bo to się dobrze sprzedaje. Niemiec ratujący Żydów - czyli nie mamy co prawda do czynienia z fikcją na temat, jak na przykład „Złoto dla zuchwałych“, ale z obrazem trochę spłyconym, taką trochę „Cepelią“. Dobry Niemiec z NSDAP staje się bohaterem popkultury, to on jest tym, który ratował ludzi przed zagładą, unieważnia wszystkich bohaterów, kurierów w Tatrach, powstańców et cetera. Teraz na scenę wstępuje członek partii narodowo-socjalistycznej, on, mimo swojej провиниенци, jest OK. Wszystkie dziesiątki tysięcy ludzi, którzy narażali życie drząc o swoich bliskich i ukrywanych, stają się nieważne. Ważny jest Schindler.

Na tyle ważny, że ja muszę w roku 2000 opowiedzieć zdziwionym Amerykanom, Szwajcarom, Francuzom, że Auschwitz został założony przez Niemców, nie przez Polaków. I o dziwo, że jak spotykam Izraelczyków, to wszyscy oni przetrwali w polskich rodzinach, piwnicach, szafach, a nie u Schindlera. Ale, niestety, siła mitu (Hollywood) jest przemożna. Polacy zamienieni zostali w małą antysemicką dziewczynkę, która w filmie nie jest na pewno nieważna. (Spielberg zapomniał, że to nie jest jednak film o dinozaurach). Do tego dodawszy parę innych wypowiedzi, na przykład Grafa Lambsdorfa o robotnikach przymusowych, można odnieść wrażenie, że prowadzona jest dziwna wojna ideologiczna.

Robi się ciemno, lepiej nie strzelać, bo można się pomylić, ale warto pomedytować przed ciemnym lasem.

Konfitory

Regulamin i program działalności Związku Polskich Nieudaczników w Berlinie



1.) Na początku trzeba stanowczo powiedzieć, że sformułowane tu zasady, regulamin i program naszego stowarzyszenia są sprawą wtórną wobec kilkuletniej już praktyki funkcjonowania bez dobitnego uświadomienia sobie celów i założeń, to znaczy ot tak, spontanicznie i „spod serca”.

2.) Ale jak się powiedziało A trzeba powiedzieć B - zarejestrowaliśmy się w sądzie, wpisaliśmy się w regularny obieg, trzeba teraz też gadać jak one.

3.) Niczego nowego nie będziemy wymyślać, tylko spróbujemy to, co było i raczej spontanicznie działało, przedstawić teraz teoretycznie przy pomocy znanego nam ze szkół i gazet aparatu pojęciowego.

4.) Po pierwsze zamierzamy pozostać merytorycznie przy własnym języku, śledzić przejawy naszych jaźni w oderwaniu od polityczno-moralno-społecznych i innych zasad, a potem projektować je w formie tzw. „artystycznej” czyli tego mniej więcej, co potocznie nazywa się „sztuką”.

5.) „Sztuka”, „artystycznej” - to beznadziejne słowa. Już lepiej to wygląda, kiedy posługujemy się tymi pojęciami, myśląc o kimś innym. Ale też nie za dobrze. W naszym stowarzyszeniu obowiązuje surowy zakaz używania tych słów i ich pochodnych

w stosunku do siebie oraz własnego tworu pod groźbą kary dyscyplinarnego wyrzucenia ze związku. Minimalna kara to 100 DM.

6.) Nikomu też nie wolno domagać się uznania dla swoich wytworów ani szacunku i podziwu oraz obrażać się kiedy ktoś powie, że są one głupie, epigońskie, prostackie itp. Za to kara od 50 DM do 200 DM.

7.) Podobnie zabrania się domagania się wynagrodzenia, zapłaty czy honorarium za działalność, polegającą na upublicznianiu własnych tworów i projekcji. Jak ktoś chce dać pieniądze - w porządku, ale krzyczenie, że należy się porządna zapłata, bo to czy tamto, jest niedopuszczalne i podlega karze z wywaleniem ze stowarzyszenia łącznie. A więc tomik poezji można sprzedać, bo w końcu to też przedmiot i może służyć na przykład do ozdoby regału albo jako podkład pod gorącą patelnię. Obraz też - doskonale zakrywa dziury w ścianach. Natomiast za czytanie wierszy, za wystawianie obrazów czy koncertowanie forsy domagać się nie przystoi. Oczywiście, można o tym dyskutować, rozważać wszystkie za i przeciw. Ale spróbujcie raz posłuchać głosu swego serca. I co? Prawda? Jakoś nieładnie.

8.) Bo niby za co płacić. Że się ktoś namęczył malując jakieś dziwne kreseczki i tajemnicze plamy? Nikomu się nie płaci tylko za to,

że się namęczy. Nawet patrząc na to rynkowo, bo niektórzy gotowi twierdzić, że „sztuka” jest też towarem, to jaką mamy gwarancję, że produkt jest profesjonalny i coś warty. Prawie żadnej. W przypadku twórcy - absolwenta ASP, AM czy UJ to jeszcze jacyś uczeni profesorowie to gwarantują. Słaba to gwarancja, ale jeżeli to ma być towar, to jest to coś, prawda? A co zrobić z samoukiem, absolwentem zasadniczej szkoły artystycznej, jakiejś „Etage”, czy kursów korespondencyjnych? My też twierdzimy, że tam prędzej o geniusza niż na Uni, ale najmniejszej gwarancji nie ma, a towar musi cokolwiek mieć, żeby zaistniał na rynku. A więc za traktowanie jak towar od 50 DM kary do wylania łącznie.

9.) Przyjmujemy więc, że „to” (wiersz, obraz, kompozycja itp.) nie jest towarem, ani też nie powinny tam rządzić takie same prawa jak w handlu obwoźnym. To chyba logiczne. Te „rzeczy” uważa się za coś wzniosłego, kulturę niematerialną, imponderabilia, zdobycze ducha (za używanie tego słowa też 50 DM kary), transcendencję; za to, co jest wiecznym, niezależnym od wszelkich zmian i przypadkowości odtworzeniem istotności, które przejawia się we wszechświecie, ludzkości i pojedynczym indywiduum, i nie ma „to” żadnego celu społecznego ani innego, jest celem samym w sobie, jest praźródłem, z którego całe życie się wyłoniło-etc, etc. A więc w zasadzie ogólnie jest przyjmowane, że „to” jest (może być) w swojej istocie czymś szczególnym, co się wyróżnia. No to nie wrzucamy „tego” do jednego wora z mydłem i powidłem komiwojażera. Nie w kategoriach dychotomii sukces-niepowodzenie, sprzeda-niesprzeda! Inaczej kara od 50 do wylania ze związku łącznie.

10.) Członkowi związku jako człowiekowi dążącemu do osiągnięcia świadomości wyższego rzędu, zatem zdającego sobie

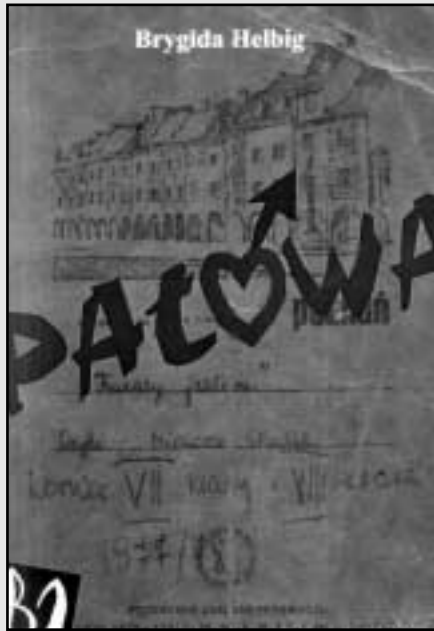
sprawę z „artystycznej” nadprodukcji i związanej z tym inflacji wyrazu, powinno raczej towarzyszyć w „tworzeniu” (jeżeli naprawdę musi to robić) uczucie winy, a nawet wstydu. Bo mało jest prawdopodobne, że będą to rzeczy przynoszące ludzkości jakkolwiek korzyść, a prawie pewne jest, że w sensie ogólnoludzkim będą to śmiecie, przyczyniające się jedynie do jeszcze większego chaosu i dezinformacji.

11.) W związku z powyższym członkowie związku muszą poddać się następującej reglamentacji w publikowaniu (w skali roku):

- 50 stron prozy
- 100 wierszy wiersza
- 5 obrazów olejnych
- 10 szkiców, rysunków
- 20 min kompozycji

12.) Niemniej każdy twór, który powstaje z wewnętrznej potrzeby i ma immanentne motywacje, zakotwiczone w ponadlogicznej, kosmicznej sferze pojedynczego bytu, jest święty. Nawet jeżeli nigdy nie zaistnieje w zbiorowej świadomości. Pkt. 6 regulaminu zachowuje jednakże przy tym swoją moc.

13.) Nieudacznik nie pije alkoholu, nie pali tytoniu ani gandzi. Bo jak mówi Lopez, gandzia robi ludziom z mózgu kiełbasę. Czasami jednak można, ale rzadko i jak nikt nie widzi.



Powieść biograficzna tudzież pamiętnik z okresu dojrzewania jest formą często wykorzystywaną. Takim też jest książka Brygidy Helbig pod tytułem „Pałowa”.

Książka wydana dowcipnie przez wydawnictwo BI. Cóż znajdziemy w środku, co ukrywa się pod sukienką dzieła postmodernistycznego?

Jest to szczerza spowiedź z okresu dojrzewania.

Jak trudny to okres, doświadczył tego każdy z nas. Czyta to się trochę jak historię choroby, trochę jak wspomnienia damy dworu. I aż wstyd człowieka bierze, bo on sam na siebie z tej lektury wyziera.

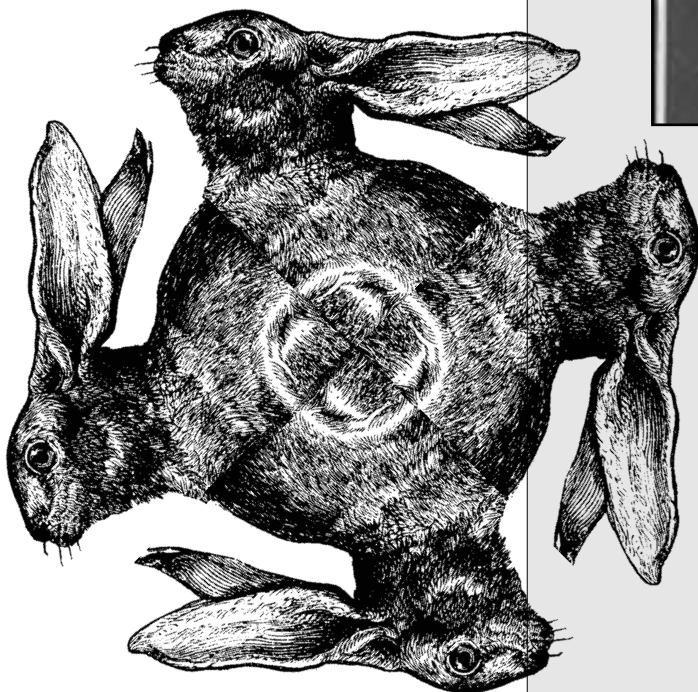
Jakkolwiek polecam szczerze.

Wojtek Stamm



Długo oczekiwana i dawno zapowiadana książka Wojtka Stamma. Zawiera scenariusze filmowe i utwory dramatyczne z ostatnich lat. Sztuki „Babcia Zosia” i „Ciocia Leosia” można było obejrzeć kilkakrotnie w Berlinie, Brunszwiku, Weimarze i Szczecinie. Pozostałe utwory nie doczekały się jeszcze realizacji filmowych czy scenicznych. Niestety to właśnie jest słabością wydania książkowego. Trudno jest w dobie multimedialnej przebrnąć jako czytelnik przez suchy tekst napisany przeciętnie, aby żył na scenie.

mordellus



Sex i alkohol, czyli to co jest najważniejsze w życiu młodego człowieka, są głównym motywem poezji Pawła. Wydawało by się, że to mało, a jednak w sumie wystarcza, bo jest to dobrze, dynamicznie napisane, a dosyć gęsto rozsiane rodzinie filozoficzno-psychologiczne w najlepszym stylu Charlesa Bukowskiego sprawiają, że nie żałujemy czasu poświęconego na lekturę „Randki...”. Jedyne negatywne uczucie to może lekka zazdrość i podziw dla sprawności donżuańskiej autora.

mordellus